

Jako tradycjonalista cenię produkty z długą historią. Nie jestem sam, czego producenci wydają się coraz bardziej świadomi. Niektóre firmy wolą podkreślać ciągłość określonej idei niż epatować sezonowymi nowościami. Rynek szybko weryfikuje, czy za produktem stoi więcej marketingu, czy więcej jakości.

Mariusz Malinowski



Skandynawska tradycja Electrocompaniet EMC 1 MKIV

Katalog Electrocompaniet nie dzieli się na wyraźne serie. Kiedyś istniał podział na linię Classic i budżetową Prelude. Aktualnie została tylko Classic, którą uporządkowano według rodzaju produktów. Obecnie Norwegowie produkują sześć urządzeń cyfrowych (źródła, przetworniki, multiplayer), sześć wzmacniaczy zintegrowanych, sześć modeli końcówek mocy, dwa przedwzmacniacze, parę kolumn, gramofon i kilka akcesoriów. Można skomponować system, zależnie od preferencji i zasobności portfela. Jest jeszcze seria EC Living, ale ją należy traktować inaczej niż audiofilską klasykę – jest to designerski projekt bezprzewodowego systemu audio-video. Wygląda intrygująco i na pierwszy rzut oka nie wiadomo, co jest czym.

Testowany dziś EMC 1 MKIV zastępuje, produkowany w limitowanej liczbie i wyprzedany już co do sztuki, model EMC 1 MKIII. Pomiędzy oboma urządzeniami jest jedna podstawowa różnica. Odchodząca „Trójka” była dostosowana do standardu CD i SACD. W obecnej MKIV nastąpił powrót do klasycznego CD.

Różnice wynikają z zastosowanego transportu. W „Trójce” pracował mechanizm Sony, natomiast w najnowszym modelu sięgnięto najprawdopodobniej po Philipsa CD-Pro 2 – tego samego, co w wersjach sprzed MKIII. Podawane przez producenta parametry techniczne są dla obu modeli takie same. Oba też są następcami EMC 1.

To odtwarzacz, który ma swoją tradycję – pojawił się jeszcze w ubiegłym wie-

ku (dokładnie: w 1998 roku). Po modyfikacji, która nastąpiła w 2001 (w nazwie modelu dodano UP), był u nas recenzowany wiele lat później, w marcu 2010.

Pomimo różnic w budowie, wszystkie EMC 1 są do siebie ładnie podobne. Wzornictwo, kolorystyka, układ przycisków, zasuwa transportu – wyglądają identycznie lub prawie identycznie. Tylko wyświetlacz w dwóch ostatnich wersjach ewidentnie się powiększył.

Z przodu mamy pięć przycisków – włącznik pośrodku, a najbardziej potrzebne guziki z prawej strony. Z lewej umieszczono wyświetlacz. Kiedy go zobaczyłem, zacząłem się zastanawiać, skąd się w ogóle wzięła moda na wygaszanie tego elementu. Mnie jakoś nigdy wyświetlacz nie przeszkadzał w odsłuchu – poza jednym przypadkiem źródła (nazwę firmy przemilczę), w którym słyszalnie brumił. Teraz też z przyjem-

nością patrzyłem na wielkie niebieskie cyfry.

Zasuwa, pod którą układamy płytę, odsuwa się płynnie, chociaż przydałby się jakiś amortyzator przed punktem całkowitego otwarcia. Do urządzenia dołączono krążek dociskowy. Możemy go zastąpić innym, o nazwie Spider (rozkładającym swoje niby nogi niczym pajak na całą powierzchnię płyty). Zakup tego akcesorium wiąże się jednak z dopłatą 1100 zł.

Wyposażenie tylnej ścianki jest tradycyjne. Mamy koaksjalne i optyczne wyjścia cyfrowe i dwa gniazda diagnostyczno-komunikacyjne. Listę elementów uzupełniają wyjścia analogowe RCA i XLR, gniazdo IEC oraz suwak do przełączania napięcia zasilania.

Konstrukcja robi imponujące wrażenie. Urządzenie podzielono na trzy



▼ Sekcja cyfrowa – z częścią zasilacza, stopniem wyjściowym i upsamplernem (na niebieskiej płytce).

▲ Obudowa pancerna. Wykonanie staranne.

▼ Sekcja analogowa: układ dyskretny i zbalansowany.



części, z których każda stanowi niejako autonomiczną komorę z oddzielnymi pokrywami. Obudowa ma układ hybrydowy – podłogę z plecami wykonano z aluminium, natomiast wszystkie zdejmowane pokrywy – z blachy stalowej. Do tego tradycyjny akryl na froncie. Całość stoi na trzech antywibracyjnych nóżkach Soundcare Superspikes. Urządzenie, jak na odtwarzacz, jest bardzo ciężkie i waży solidnie 18 kg. To więcej niż niejeden wzmacniacz o zbliżonych gabarytach.

Część środkową zajmują transport oraz główna część zasilacza. Napęd wmontowano w obręcz, składającą się z siedmiu płytów spojonej elastycznym



▲ **Technikę wygaszania drgań mechanicznych Norwegowie stosują od dawna.**

dopodobniej (odczepty są niewidoczne) całą resztę, czyli przetwornik c/a, transport i układy kontrolne. Środkowa część (zasilacz i transport) oddziela, w sposób najbardziej ortodoksyjny z możliwych, stopień analogowy od sekcji cyfrowej.

Układ cyfrowy (zielona płytko z lewej) zawiera skromną filtrującą część zasilacza, wyjście sygnału cyfrowego, bufor i przetwornik. Widoczna pośrodku niebieska płytko to upsampler, z dwiema kośćmi Cirrus Logic (CS9420 i CS4397) – takimi samymi, jak w poprzednich wersjach.

Sekcja analogowa to niebieska płytko z prawej strony urządzenia. Tu też



▲ **Czytelny wyświetlacz i przyciski najważniejszych funkcji.**

◀ **EMC 1 MKIV jest top-loaderem.**

▶ **Płytkę kładziemy bezpośrednio na osi silnika i dociskamy krążkiem.**



klejem stali. Obręcz ta jest zawieszona miękko – naciskając ręką, można nią poruszać, choć nieznacznie. To rozwiązanie ma swoją nazwę: Electromechanical Cancellation System. Nie stanowi, bynajmniej, żadnego przełomu – stosowano je już w poprzednich wersjach firmowego top-loadera. Być może z modelu na model przechodzi modyfikacje, ale trudno to stwierdzić bez bezpośrednich porównań. Tak czy inaczej, musi się sprawdzać, skoro firma tak się nim chwali i konsekwentnie aplikuje w swoich urządzeniach.

Za transportem znajduje się zabudowa, przez którą można dojrzec tylko dwa niewielkie transformatory toroidalne, „położone” na sobie. Jeden z nich zasilą część analogową; drugi najpraw-



znajduje się fragment sekcji zasilającej. Układ jest w pełni zbalansowany; wyjście RCA podczepiono do XLR. Widać, że gniazda symetryczne są priorytetowe i najlepiej korzystać właśnie z nich. Cały tor analogowy zbudowano z elementów dyskretnych.

Przy froncie umieszczono dwie mniejsze płytki: do wyświetlacza i obsługi przycisków. Zgodnie z deklaracjami w materiałach informacyjnych – rozdzielenie wszystkich sekcji urządzenia jest wręcz wzorcowe.

Do EMC 1 MKIV dołączono systemowy pilot, który trudno pochwalić za cokolwiek poza tym, że działa. Mnóstwo przycisków raczej nie mieści się w duchu minimalizmu. Z drugiej strony – sterownik na pewno nie ma wpływu na brzmienie.

kilku dniach uznałem, że można niezobowiązująco przesłuchać jedną płytę dziennie. No i te pierwsze doświadczenia okazały się dość osobliwe.

Słyszałem dźwięk, który niczym szczególnie się nie charakteryzował. Takie przykładowe brzmienie, bez fajerwerków, ale i bez ewidentnych braków. Później sytuacja zaczęła się zmieniać – nie chodzi o to, że brzmienie szlachetniało, ale o sposób jego percepcji.

W powszechnej świadomości wpływ odtwarzacza na dźwięk systemu jest

i z tego pojedynku wyszedł... zwycięsko. Może różnica w cenie przesądziła, że czynnik przytupywania w wykonaniu norweskiego źródła wydawał się bardziej przekonujący? Niewykluczone, że wynikało to z tego, że EMC 1 MKIV odważniej podchodził do dźwięków ryzykownych, na granicy ostrości. Nie zmienia to faktu, że było tu więcej blasku, roziskrzenia i wyraźniejszych szczegółów. Kultura została doprawiona dźwięcznością, a równowaga tonalna – energią. A wszystko ze świetnie skrojoną



Konfiguracja

Electrocompaniet grał w systemie złożonym z redakcyjnego lampowego preampu BAT VK3iX SE i stereofonicznej końcówki mocy Conrad-Johnson MF 2250. Na początku odsłuchu wykorzystałem monitory Dynaudio Contour 1.3 mkII, ale później zmieniłem je na Dynaudio Contour 20 i tak już zostało do końca. Bezpośrednim punktem odniesienia dla EMC 1 MKIV był odtwarzacz Naim 5X z zasilaczem Flatcap 2X.

Wrażenia odsłuchowe

Norweski odtwarzacz to kandydat do listy faworytów w cenie poniżej 20 tys. zł. Jakość wykonania, solidność konstrukcji, tradycja firmy, wzornictwo – to wszystko pozwala podchodzić do niego z uznaniem i nadzieją na dobry dźwięk. Czwarta wersja flagowego top-loadera nie zawodzi tych oczekiwań.

Najpierw poddałem odtwarzacz delikatnemu wygrzewaniu – muzyka płynęła, ale potencjometr we wzmacniaczu był skręcony niemal do minimum. Po

o wiele delikatniejszy niż kolumn czy wzmacniacza; należy więc podchodzić do niego inaczej. Tutaj sedno kryje się w subtelnościach, a te subtelności należy w ogóle dostrzec. Należy im poświęcić więcej czasu, bo w szybkim odsłuchu mogą zwyczajnie umknąć. Dopiero wtedy da się oceniać brzmienie źródła. Upredzając fakty, powiem, że klasa dźwięku Electrocompanieta odpowiada klasie jego budowy.

Norweski odtwarzacz został skonfrontowany z redakcyjnym Naimem, który gra w lidze oczko niższej. Mimo to pojedynek okazał się dość wyrównany. EMC 1 MKIV zaprezentował brzmienie kulturalne i eleganckie, choć równocześnie zdecydowane. Mało tego, potrafił umiejętnie dozować drapieżność, tak aby przypadkiem nadmiar dystynkcji nie uspił słuchacza. Wydawać by się mogło, że to kierunek poszukiwań podobny do Naima. Ale i tutaj odnotowałem pewną niespodziankę.

Audiofilska tradycja mówi, że Naim słynie z rytmu. Jeśli tak, to Electrocompaniet rzucił mistrzowi rękawicę –

▲ Akrylowy front, złote przyciski i napisy – charakterystyczne elementy wzornictwa Electrocompanieta.

mikrodynamiką, tak aby przy zachowaniu precyzyjnego tempa nie było wrażenia pośpiechu czy przyspieszonych szarpnięć.

Electrocompaniet ma bardzo dobry bas. Konstruktor postarał się, aby podkreślał rytm, nie odciągając uwagi od średnicy. Tu nie ma miejsca na szaleństwo, a charakter dołu pasma chyba najlepiej oddaje słowo „solidność”. Owa solidność potrafi zaskoczyć swoją siłą, a odtwarzacz oddaje tę potęgę brzmienia odważnie, choć bez ułańskiej szarży. Nie odnotowałem nagrania, w którym pozwoliłby sobie na rozleniwienie czy ospałość. Zamiast miękkości woli akcentować „mięsiastość”. Bas wybrzmiewa śmiało i konkretnie, ale bez utwardzenia. Niedociągnięta do samego końca kontrola sprawia, że w czasie odsłuchu możemy odczuć satysfakcję z przyjemnego pulsowania podstawy harmonicznego.

Z tej masywności basu wyrasta średnica. Zakresy wydają się mocno sklejone, co ma swoje wady i zalety. Zaletą jest spójność i płynność brzmienia. Wadą natomiast – drobny niedobór selektywności, co może stanowić pewien problem w nagraniach o gęstej fakturze brzmieniowej i bogatym instrumentarium. Można wtedy odczuć brak „audiofilskiego powietrza” w muzyce. Należy jednak pamiętać, że to jest cecha własna takich nagrań (pop, rock) i tylko odtwarzacze z najwyższej półki są w stanie zaproponować w tej dziedzinie coś więcej. W cenie poniżej 20 tys. zł Electrocompaniet gra prawidłowo, czyli w dobrych nagraniach nie pozostawia niedosytu, ale też nie poprawia zaniedbań realizatora. W innych gatunkach spisuje się bez zarzutu, a nawet sprawia pewną miłą niespodziankę. Okazuje się bowiem, że zaproponowana przez Norwegów koncepcja brzmienia idealnie pasuje do nagrań fortepianowych. Sam wpadłem w pewną pułapkę, bo gdy już miałem mniej więcej wyrobioną opinię o testowanym źródle, kurier dostarczył zamówiony wcześniej boks



z nagraniami sędziwego Vladimira Horowitza dla Deutsche Grammophon (z lat 1985-1991). I potem już do samego oddania urządzenia dystrybutorowi słuchałem praktycznie tylko fortepianu. Po Horowitzu były sonaty fortepianowe Beethovena (Barenboim), koncerty fortepianowe Mozarta (Pires), solowe improwizacje Keitha Jarretta i inne – i zawsze miałem nieodparte wrażenie, że EMC 1 MKIV z fortepianem tworzą związek symbiotyczny.

Miłośnikom klasyki norweski odtwarzacz na pewno się spodoba, bo oprócz fortepianu świetnie sobie radzi ze smyczkami, kameralistyką, utworami wokalnymi czy nawet z symfonią. Norweska recepta na muzykalność sprawdza się tu znakomicie. A to za sprawą intensywności barw średnicy. Tutaj dzieje się naprawdę dużo. Electrocompaniet jakby rozkoszował się pokazywaniem różnorodności instrumentów i nasycenia nut.

Preferuje głębokie olejne tony, które nie pozostawiają miejsca na obojętność – pierwszy krok emocjonalny stanowi tutaj priorytet. Warto przy tym zauważyć, że same kontury dźwięków nie są ostre. Taka prezentacja ułatwia koncentrację na samej melodii, gdyż uwagę przyciąga esencja dźwięków, a nie ich wirtualny kształt.

W porównaniu z Naimem zauważa się wyraźne przesunięcie punktu ciężkości brzmienia. Brytyjski

▶ **Pilot systemowy**
– zwykła masówka.

▼ **Cyfrowy komplet.**



▲ **Wyposażenie skromne, ale wystarczające. Połączenie RCA należy traktować jako awaryjne.**

odtwarzacz mocniej akcentuje dół pasma, a norweski – średnicę. Ani w jednym, ani w drugim przypadku nie jest to jednak przeniesienie ciężaru w sensie dosłownym – a jedynie pokazanie, że tu się dzieje więcej, niż potrafią pokazać bezpośredni konkurenci z tej półki cenowej.

Scena dźwiękowa jest bardzo proporcjonalna. Została starannie rozplanowana w bazie, z lekkim wysunięciem do przodu pierwszego planu. W nagraniach, w których realizatorzy nie przewidzieli żadnych przestrzennych cudów, stereofonia Electrocompanieta jest dyskretna, jakby nie chciała na siebie zwracać nadmiernej uwagi. Tym ciekawsze stają się nagrania, gdzie takie efekty stanowią zamierzony efekt

ozdobny – bo norweski odtwarzacz potrafi je wydobyć w odpowiedniej skali.

Umiar pomiędzy kontrolą i łagodnością dołu oraz melodyjność średnicy nieco ożywia góra pasma. Electrocompaniet nie boi się pokazać pazura, zagrać nawet ostrzej, oczywiście nie wpadając w przerysowanie. Sopranu pomagają w wydobywaniu szczegółów. Sprawiają, że obraz dźwiękowy nabiera blasku. Ale wysokie tony nadają też pewien charakterystyczny ton całości – są jakby nastawione na skracanie wybrzmień. To podkreśla wrażenie dyscypliny całości, przy zaakcentowaniu energetyczności brzmienia. Niektórym może tu brakować luzu, ale – z drugiej strony – odnoszę wrażenie, że wtedy nadmiar romantyzmu mógłby przyciągnąć głównie audiofilki, a te stanowią

zdecydowaną mniejszość wśród potencjalnych nabywców.

Takie wyrównanie akcentów czyni brzmienie bardziej uniwersalnym.

Mamy coś w rodzaju stopniowania kontroli – im wyżej, tym jest jej więcej. To ciekawe podejście, bo pogrubienie od dołu, przechodzące w znakomitą mikrodynamicę w wyższych częściach pasma, dopełnia obraz wyrafinowaniem.

Konkluzja

Kolejna odsłona klasycznej maszyny imponuje solidnością budowy i interesującą kompozycją brzmienia. Przy odpowiednim doborze reszty toru może zapewnić szczęśliwemu nabywcy wiele lat niezapomnianych wrażeń. A dla miłośników fortepianu może być końcem poszukiwań.

Electrocompaniet EMC 1 MKIV

Cena: 19800 zł

Dane techniczne:

Rodzaj przetwornika:	24-bitowy
Pasma przenoszenia:	20 Hz – 20000 kHz
Zniekształcenia:	<0,003%
Sygnal/szum:	b. d.
Wyjścia analogowe:	RCA, XLR
Wyjście cyfrowe:	koaks., opt.
Zdalne sterowanie:	+
Wyjście słuchawkowe:	-
Wymiary (w/s/g):	12/48,2/42,2 cm

Ocena:

Brzmienie: hi-end